

LESZEK
PISKORZ



Ja,

KINDER
z GRZEGÓRZEK

WYDAWNICTWO WAM

© Wydawnictwo WAM, 2008

ISBN 978-83-7505-244-2

Fot. w tekście

Jerzy i Tadeusz Białkowscy

Fot. na 1 i 4 str. okładki

Tomasz Żurek

Opracowanie tekstu

Jerzy Piekarczyk

Opieka redakcyjna

Jakub Kołacz SJ

Korekta

Katarzyna Stokłosa

Opracowanie graficzne

i projekt okładki

Krzysztof Błażejczyk



WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 012 62 93 200 • faks 012 429 50 03

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 012 62 93 254-256 • faks 012 430 32 10

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

Zapraszamy do naszej

KSIĘGARNI INTERNETOWEJ

<http://WydawnictwoWAM.pl>

tel. 012 62 93 260 • faks 012 62 93 261

DRUK I OPRAWA

Drukarnia Wydawnicza Kraków

Spis treści

Zamiast wstępu 5

ROZDZIAŁ I

Miejsca zapisane w pamięci 9

ROZDZIAŁ II

Ciekawość życia 19

ROZDZIAŁ III

Uroda wieku cięłego 31

ROZDZIAŁ IV

Uzasadnione wybory 61

ROZDZIAŁ V

Zapomniane obrazy przeszłości 73

ROZDZIAŁ VI

Kibice i cała reszta 83

ROZDZIAŁ VII

Potyczki z władzą ludową 97

ROZDZIAŁ VIII

Belfry moje kochane 103

ROZDZIAŁ IX

Na progu dojrzałości 119

ROZDZIAŁ X

Uparty amant Melpomeny 129

ROZDZIAŁ XII

Jeszcze o mnie usłyszycie! 139



Zamiast wstępu

Szalenie modne stało się w moim środowisku pisanie książek. Nie chciałbym dołączyć do tej grupy, w której autor obcuje ze swoim lustrzanym odbiciem pełen zachwyty nad własnym talentem i wybitną osobowością, którą próbuje wdeptać w ziemię tłum zawistników. Chciałbym tą książką przypomnieć sobie lata młodości, oddać ducha tamtych czasów, atmosferę tamtych lat, charaktery i obyczajowość tamtych ludzi. Chciałbym...

Dlaczego postanowiłem opisać Grzegórkę?

Ponieważ do tej pory nikt się tego nie podjął, a ja mam dług wobec tej części mojego Krakowa, w której przyszedłem na świat i choć ją potem opuściłem, zawsze ją będę miał w pamięci. Ponieważ ludzie, wśród których się wychowałem, ze wszech miar zasługują na to, aby pisać o nich najpiękniej jak można. Ponieważ

czasy mojego dzieciństwa i młodości, choć nie należały do lekkich, wspominam z radością, bo takie widziały je oczy młodego człowieka ciekawego świata i ludzi.

Na pytanie: dlaczego? odpowiedź jest właściwie prosta. Ano dlatego, że folklor miejski należy już do przeszłości, a trzeba go próbować uratować, bo jest on częścią historii Krakowa, a został zdominowany przez wiejskie sukmany, zapaski i czapki z pawimi piórami. Dlatego chciałbym przypomnieć i zarazem utrwalić pamięć o świecie, który odchodzi tak samo, jak znikają z powierzchni domy, ulice, a miejsca, które zapamiętałem z młodości, zmieniają swój charakter tak dalece, że gdyby nie pamięć, rozplynęłyby się w przestrzeni czasu. Może ta książka pozwoli przypomnieć tradycję i zwyczaje odchodzącego Krakowa, który jest mi tak bliski.

Dla kogo są te słowa? Myślę, że dla ludzi mojego pokolenia, którzy chętnie powrócą do beztroskich czasów młodości, chociaż nie ukrywam, że chciałbym, aby trafiła również do młodego pokolenia, które – choćby poprzez konfrontację z przeszłością – wynajdzie coś dla siebie z czasów mu obcych. Bo przecież nie ma historii bez kontynuacji.

Wiem, że powroty do świata smaków, zapachów i kolorów dzieciństwa trącą sztaampą, ale nie sposób uniknąć takich powrotów, sięgając pamięcią wstecz. Luki w niej powodują, że obrazy zdarzeń pojawiają się jak

błysk flesza, jak wyrwane z całości kadry filmu, jak przeźrocza, których przeglądanie przywraca wspomnienia, tworząc czasami rzeczywistość pozbawioną naturalnej chronologii.

Nie wiem, jak powinienem nazwać ten rodzaj tematyki, ten okres, do którego odwołuje się książka. Powiedzmy, że nazwę go, sięgając do historii kina, „krakowskim neorealizmem”. Chciałbym, aby w tej książce nie było szminki charakteryzatora, aby zawarte w niej przesłanie było proste, jak prosty jest mój dowód. Pisząc „proste”, mam na myśli szlachetną prostotę, nie prostactwo.



ROZDZIAŁ I

Miejsca zapisane w pamięci

Pamięcią sięgam do momentu, gdy miałem 5 lat. Od tego czasu zaczyna się mój powrót do przeszłości. Czas akcji to lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte minionego stulecia. Miejsce – obecny geograficzny środek Krakowa, kiedyś przedmieście oddalone od Rynku Głównego zaledwie o trzy kilometry. Pięknie usytuowana nad Wisłą dzielnica Grzegórzki, na wskroś robotnicza w owym czasie część miasta. Zieleniewski, Semperit, ZPC „Wawel” – lub jak go wtedy wciąż nazywaliśmy – Suchard, Rzeźnia Miejska, to byli główni pracodawcy dla mieszkańców Grzegórek.

Architektura dzielnicy to przede wszystkim czynszowa zabudowa, poprzetykana przedwojennymi, ekskluzywnymi kamienicami. Może właśnie ta różnorodność architektury, nie wszędzie spotykana w Krakowie, tworzyła niepowtarzalną atmosferę tego miejsca.

Dopiero w późnych latach pięćdziesiątych ulice Daszyńskiego, Wiślisko, Siedleckiego zabudowano blokami i struktura społeczna znacznie się zmieniła. Przemieszanie krwi inteligenckiej z robotniczą wyszło obu grupom na zdrowie, ale stworzyło też niezłą mieszaninę wybuchową.

Urodziłem się w domu, który stał tam, gdzie dziś Galeria Kazimierz. Dokładnie w miejscu, gdzie od ul. Rzeźniczej znajduje się wejście do niej. Moje „królestwo” usytuowane było na końcu ulicy Daszyńskiego, w enklawie kilkunastu kamieniczek czynszowych, w których w bardzo skromnych warunkach gnieździło się kilkadziesiąt wielodzietnych rodzin. Odchodząca od ulicy Daszyńskiego uliczka biegła wzdłuż kamieniczek, niewiele większych od niej. Zaglądając do okien na parterze, można było poczuć i zobaczyć, co





w danym dniu szykowano na obiad. Latem mieszkańcy domów, wsparci na poduszkach, wysiadali w oknach, gawędząc z sąsiadami.

Mniej więcej w środku naszej pokrytej żwirem uliczki znajdował się pilnie strzeżony przez psy, niewielki sad – cel naszych wypraw na „grandę”. Kiedy uciekając przed goniącymi nas psami i rozwścieczonym właścicielem dopadaliśmy uliczki, stawała się ona azyłem, terenem neutralnym, gdzie mogliśmy grać na nosie właścicielowi ogrodu albo potraktować go słowem wiązonym. Faktem jest jednak, że kiedy szczuł na nas psy, biliśmy rekordy prędkości, uciekając do domu, aż się kurzyło.

Uliczka była zarówno boiskiem piłkarskim, jak i terenem spacerów grzegórzeckich agarów. Była również miejscem spotkań rodziców, cioc i wujków, którzy

prowadzili rozmowy i gorące dyskusje na różne tematy. Można powiedzieć, że był to świat ludzi skupionych wokół własnych problemów, radości i zmartwień, swojski świat, inny niż ten, który przyszedł na Grzegórzki wraz z mieszkańcami bloków.

Bardzo ważnym punktem na mapie dzielnicy była Hala Targowa – plac, bazar, taki ówczesny market, miejsce dla nas niezwykle ważne, gdyż tam robiono wszystkie zakupy, tam spotykali się mieszkańcy Grzegórzek. W święta państwowe: 1 Maja czy 22 Lipca, plac przed Halą Targową stawał się miejscem popisów krakowskich artystów, tam odbywały się pierwsze dyskoteki pod chmurką. Poza występami artystycznymi hala spełniała taką samą funkcję, co dzisiaj, wzbogacona o niedzielne targi staroci. Obok niej znajdowało się boisko piłkarskie i korty tenisowe Klubu Kolejowego Olsza. Parę lat później w miejscu boiska zbudowano kryte sztuczne lodowisko. Drogę spod Hali Targowej do mojego „królestwa”, którym była uliczka, śmiało mógłbym nazwać „drogą królewską”. Przemierzaliśmy ją czasami kilkakrotnie w ciągu dnia, spotykając na plantach, ciągnących się wzdłuż Daszyńskiego, przedstawiciele różnych klas społecznych, różnego wieku i proveniencji, dla których planty były tym, czym dla nas nasza uliczka.

Ludzie z naszego zakątka byli przedstawicielami tzw. robotniczego Krakowa. Ślusarze, tokarze, malarze pokojowi, kierowcy, trafił się też fryzjer i elektryk. Nie

sposób w tej grzegórzeckiej społeczności pominąć zawodu, czy może raczej instytucji, jaką były meliny. Swoiste pogotowia ratunkowe nie tylko dla sąsiadów, ale również dla przybyszów z innych dzielnic, którzy do melinarzy odnosili się ze szczególnym szacunkiem, gdyż ci przychodzili im z pomocą w nagłej potrzebie.

Melina była mieszkaniem z reguły dwupokojowym, w jednym mieścił się salon przyjęć, drugi zajmowała rodzina. Sprzedaż uzależniona była od potrzeb. Czasem w pośpiechu zjawiał się klient, który podjeżdżał taksówką i błyskawicznie kupował kilka butelek. Czasem gościnne progi przekraczali bliscy sąsiedzi, których przyjmowano w „salonie”. Z racji bliskiego sąsiedztwa z rzeźnią czy fabryką czekolady, w melinie można było nie tylko wypić, ale również zakąsić, nie zapominając przy tym o dzieciach, którym się przynosiło czekoladę, aby ojcu nie miały za złe, że za późno wraca do domu.

Interes się dobrze kręcił, więc melina nie mogła być poniżej obowiązujących standardów. Meble na wysoki połysk, z Kalwarii oczywiście, na ścianach perskie dywany, do tego masa kryształów i – obok świętych obrazów, świadczących o bogactwie ducha – obowiązkowy jeleń na rykowisku, będący dowodem na to, że właścicielowi meliny nieobca jest sztuka. Wszystko to było urozmaicone sztucznymi różami, żonkilkami, irysami – nowościami na ówczesnym rynku.

Pamiętam Szefową – tak się wszyscy do niej zwracali – osobę słusznej postury, co się przydawało, gdy trzeba było uspokajać klienta. Otóż Szefowa roztaczała wokół siebie nimb osoby wszechmogącej i rzeczywiście coś było na rzeczy, bo wielokrotnie jej melinę odwiedzali milicjanci, aby się rozgrzać – służba ciężka, wiadomo, a zimno za progiem. Szefowa, zawsze uśmiechnięta i gościnna, zachęcała do zakupów. Zdarzało się nawet, że w przypiływie miłości do bliźniego częstowała stałych klientów gratis. Jej mąż dotrzymywał towarzystwa biesiadującym gościom, czuwając razem z żoną, aby biesiadnicy przestrzegali zasad obowiązującego w melinie *savoir vivre*'u. Klienta przesadzającego ze spożyciem usuwano szybko i sprawnie, nawet gdy próbował się stawiać. Pod tym względem meliny przestrzegały „kultury picia” i męska część naszej uliczki chętnie zaglądała do nich, co często kończyło się interwencją żon – za uszy wyciągały mocno podchmielonych mężów, którym grunt kołysał się pod nogami.

Mimo różnorodności i indywidualnych cech poszczególnych rodzin zamieszkujących czynszówki, atmosfera była sympatyczna, a współżycie między sąsiadami nienaganne. Żyło się bez konfliktów, powiedziałbym nawet – w wyjątkowej harmonii. Wszyscy się znali, wszyscy wszystko wiedzieli o sobie i żyli problemami wszystkich. Jeżeli w którejś rodzinie były powody do radości, cieszyli się również inni, tak samo smutek łączył wszystkich w nieutulonym żalu. Byli

to ludzie prości, ale jakże czyści moralnie, wrażliwi na problemy drugiego człowieka, szlachetni w swojej prostocie. Ich obraz jawi mi się dzisiaj niemal jak jakiś ideał, rzecz jasna niepozbawiony pewnych ludzkich przywarów, które jednak nie szkodziły drugim.

Mój dom znajdował się na samym końcu uliczki. Piętrowa kamieniczka z tajemniczymi piwnicami i nie mniej tajemniczym strychem. Mieszkało w niej siedem rodzin, wśród nich również moja: Tata, Mama, Brat i ja. Do naszego pokoju szło się korytarzem o odrapanych ścianach, na którego końcu, tuż przy kranie z bieżącą wodą, znajdowały się drzwi prowadzące do pokoiku o powierzchni 15 m². W kącie piec z blachą i kilka podstawowych mebli. Okno z naszego „salonu” wychodziło na podwórze tuż przy wspólnej ubikacji. Całość potężnie zawilgocona, w zimie – zimno,



latem – gorąco. Podwórze otaczały komórki i gołębniki. W środku kawałek wyliniałego trawnika, który w lecie był placem zabaw i miejscem sąsiedzkich pikników. Kochałem to miejsce i kocham je tym bardziej, im większy dystans dzieli mnie od tamtych lat.

Edward Piskorz, Tata, rodowity krakus z Podgórza, pochodził z wielodzietnej rodziny, czterech braci i siostra – wszyscy bardzo uzdolnieni muzycznie. Przed wojną tworzyli orkiestrę podwórkową. Akordeon, kontrabas, skrzypce – to bracia, siostra grała na mandolinie. Chętnie muzykowali na różnych uroczystościach rodzinnych. Tata był uosobieniem pracowitości, uczciwości i dobroci. Miał czternaście lat, gdy został przyjęty na praktykę do malarza pokojowego i od tego czasu, właściwie aż do śmierci, pracował w tym fachu nieprzerwanie. Znając jego bezgraniczną uczciwość, powierzano mu do malowania mieszkania z całym dobytkiem. Był „nadwornym” malarzem krakowskich notabli, profesorów, adwokatów itp. Malował również apartamenty ówczesnego biskupa, a później kardynała, Karola Wojtyły. Kiedy pewnego razu ukończył prace u prof. Nowosielskiego, ten bardzo zadowolony z efektów, oprócz honorarium zaproponował: „Panie Edwardzie, czy zechce pan przyjąć w prezencie moją pracę?”. Tata wnikliwie obejrzał obraz, który zamierzał podarować mu profesor, i grzecznie, acz stanowczo powiedział: „Bardzo dziękuję, honorarium wystarczy”. Kiedy wrócił do domu, zwierzył się Mamie z rozbrajającą szczerością: „Marcysiu, przecież ja

taki obraz sam sobie mogę namalować”. Wspaniała postać, pełna radości życia, z ogromnym poczuciem humoru. Czuły ojciec, w którym zawsze można było znaleźć oparcie. Ale podstawą, opoką, mózgiem rodziny była Mama. Skromna, delikatna, wrażliwa. Miała piętnaście lat, gdy przybyła za chlebem do Krakowa. Podobnie jak Tata, pochodziła z wielodzietnej, ubogiej rodziny – miała trzy siostry i dwóch braci. Ojciec i bracia zajmowali się krawiectwem. Po przybyciu do Krakowa Maria zaczęła pracować w Suchardzie. W 1936 roku brała udział w słynnym, krwawo stłumionym strajku robotników Semperitu i Sucharda. Cudowna kobieta o niebywałej dobroci i wyrozumiałości, umiejąca perfekcyjnie zaaranżować rodzinne gniazdo. Wy czarować z nory, w której mieszkaliśmy, iście królewskie lokum, pełne ciepła i miłości. Rodzice tworzyli małżeństwo, które często było obiektem zazdrości mieszkających wokół nas rodzin.

No i był jeszcze mój kochany starszy Brat Andrzej, który wprowadzał mnie we wszystkie sekrety grzegórzeckiej „paki”. Od najmłodszych lat fanatyk motoryzacji, pasjonat motocykli i samochodów, urodzony kierowca, który całe swoje krótkie życie spędził za kierownicą. Początkowo były to tiry, później taksówki, w ostatnim okresie – wytworne mercedesy. Prosty chłopak o niesłychanej wiedzy, bo drugą jego pasją było czytanie książek. Pochłaniał je całymi tomami. W życiu dorosłym często był moim adwersarzem, ale dumnym i szczęśliwym z dokonań brata. Jego przed-

wczesna śmierć pozostawiła pustkę w moim życiu, którą znosiłem i znoszę z trudem.

Opisując topografię Grzegórzek, byłbym nieuczciwy, nie oddając hołdu bodaj najsłynniejszej ulicy w tym rejonie, ulicy Gęsiej. Słynęła z hycli, białych robaczek – znakomitych jako przynęta na ryby – oraz melin, które znajdowały się niemal w każdym domu. Do dzisiaj słyszę stukot kół wózków łowców bezpańskich psów, jadących ulicą Daszyńskiego i widzę na koźle raka z arkanem. Położenie ulicy w bezpośrednim sąsiedztwie rzeźni sprawiało, że z całego Krakowa zjeżdżali tutaj wędkarze po te robaki, na które podobno ryby brały, że hej. Z kolei do tutejszych melin zapuszczały się wszystkie „nocne marki” z innych dzielnic Krakowa, gdy nocą sklepy monopolowe były zamknięte, a ludzi suszyło niemożliwie.